

Oczekiwania wobec rządu, ocena jego pracy i poparcie dlań to w Polsce trzy luźno powiązane kwestie. Mimo, iż Polacy niewiele oczekiwali, źle oceniali pracę rządu, to wciąż właściwie premiera popierali.

Po wyborach sytuacja zmieniła się o tyle, że wzrost poziom niezadowolenia, ale proporcje pozostały podobne – zła ocena pracy wciąż nie przekłada się wprost na mniejsze poparcie. Jakie trzy lekcje powinna z tego wyciągnąć prawicowa opozycja?

Dryf i rozpad

Jeśli uważnie śledzimy informacje o rozwoju Polski, trudno będzie nam zachować optymizm. Współczynnik dzietności na poziomie 1.3, czyli mniej więcej na poziomie Chin, gdzie teoretycznie nie można mieć więcej, niż jednego dziecka. Ok. 2 mln emigrantów, z czego ok 1,5 mln będących za granicą dłużej, niż rok. Proces informatyzacji administracji publicznej od dekady stojący praktycznie w miejscu, ale za to niezmiennie rodzący dużej skali afery korupcyjne. Sądownictwo mamy najdroższe w Europie (w przeliczeniu na PKB), ale jednocześnie niesprawne i „sprawiedliwe” jak zawsze.

[mc4wp_form id="84"]

Budowa infrastruktury drogowej ślimaczy się w nieskończoność z powodu oczywistej niemożności wybudowania jej za połowę realnych kosztów. Wyszło na to, że to, co jednak powstanie częściowo sfinansowali polskiemu państwu (pod)wykonawcy. Nic dziwnego, że po czymś takim mamy falę upadłości. Na kolei upadłości jeszcze nie ma, bo niewiele się dzieje. Jest tylko powolny rozpad na coraz mniejsze spółki i stale malejąca prędkość przewozów. W energetyce cudem udaje się rozstrzygnąć przetarg na nowe moce po to tylko, by sąd unieważnił decyzję środowiskową.

Po dwudziestu latach transformacji poziom innowacyjności polskiej gospodarki maleje, co stawia pod dużym znakiem zapytania zarówno jakość polskiej przedsiębiorczości, jak i osławionego boomu edukacyjnego. Krajowe firmy nie inwestują w technologie i nie chcą się rozwijać poza granicami Polski. Zadowolone z osiągniętej już pozycji w kraju gromadzą rezerwy na czarną godzinę albo na emeryturę właścicieli. System edukacyjny, na który wydajemy rocznie ok. 70 mld złotych, jest w opinii samych wykładowców fabryką młodych bezrobotnych, których jest dziś 25%. Natomiast jednej rzeczy nam w Polsce nie brakuje – urzędników (500 tys.) i zawodów regulowanych (360).

Takie wyliczenia można ciągnąć w nieskończoność. Praktycznie w każdej dziedzinie, jeśli zapytamy się specjalisty odpowie nam, że jest źle. Opieka zdrowotna – źle. Muzea i teatry – źle. Nauka – źle. Piłka nożna – źle! Nawet ITI i Agora – ledwo zipią i żyją z rządowych reklam!

System nieodpowiedzialności pieczętkowej

No dobrze, ale kto za to odpowiada? Tego zazwyczaj nie wiadomo. Odpowiedzialność w Polsce jest bowiem tak rozmyta, aby każdy mógł sobie pracować w spokoju i pokazywać, że on co prawda dopełnił obowiązków – na dowód czego jest pieczętka – ale najwyraźniej to system zawinił. Była luka w prawie, złe przepisy, urzędnicza bezduszność, albo przeoczenie – jesteśmy zawaleni robotą, powinno być więcej stanowisk u urzędzie albo nowa ustawa.

Jeśli już jednak jakimś cudem wiemy, kto za to odpowiada, to zazwyczaj jest to ktoś inny. Za dziurę w wałach przeciwpowodziowych odpowiada wójt. Za katastrofę w Smoleńsku piloci. Za sprzedaż siedziby IPN ... sam IPN. A ostatecznie nitki i tak prowadzą do gabinetu Kaczora. Chciało by się powiedzieć: „zapłuty karzeł reakcji”. O dziwo tego lata po pięciu latach bycia w opozycji PiS pozwolił wreszcie mediom nie zajmować się sobą i obecnie za piramidę Amber Gold odpowiadać będzie zapewne prokurator rejonowy w Gdańsku.

Wiemy też, kto na pewno za to nie odpowiada. Na pewno nie odpowiada premier. I jego partia, która dzielnie zwalcza problemy, które sama przed obywatelami stawia. Bo gdyby premier za to wszystko odpowiadał, to natychmiast zrobiłoby się jakoś tak... duszno. Zapanowałaby atmosfera podejrzeń, potem zaczęto by rozliczać, czyli grzebać w teczkach. Nie koniecznie tych w IPN, ale tych już zupełnie współczesnych, z dokumentami. Innymi słowy, nieodpowiedzialność premiera jest dziś szansą na nieodpowiedzialność dla wszystkich innych decydentów w państwie.

Niczego nie oczekuję, źle oceniam, popieram

W związku z tym mamy do czynienia w Polsce z pewnym fenomenem społecznym, który dobrze pokazują badania demoskopijne CBOS. Gdy pyta się Polaków, czy uważają, że polityka rządu stwarza szanse poprawy sytuacji gospodarczej praktycznie od momentu wybuchu globalnego kryzysu gospodarczego we wrześniu 2008 odpowiedź jest jednoznacznie negatywna. Nie wierzymy, by rząd prowadził nas w dobrą stronę. Nowy gabinet Donalda Tuska rokuje jeszcze gorzej, niż poprzedni. Jedyny moment, w którym Polacy uważają, że polityka rządu ku czemuś

sensownemu zmierza, to wakacje 2010 r. Wtedy była w Polsce... powódź.

Jeśli z kolei zapytamy Polaków, jak oceniają wyniki działalności rządu kierowanego przez Donalda Tuska to okaże się, że przez całą poprzednią kadencję mieliśmy do czynienia z okresowym przeplataniem się ocen pozytywnych i negatywnych. Do marca 2009 r. przeważały oceny pozytywne, następnie dominowały negatywne, by w... kwietniu 2010 r. ponownie ustąpić pozytywnym (po znaczącym skoku w górę). Następnie od początku 2011 r. ponownie przeważały oceny negatywne, by miesiąc przed wyborami ustąpić pozytywnym. Co ciekawe, rząd tego samego premiera w nowej kadencji notuje wyraźną przewagę ocen negatywnych, a rozrzew sięga od 30 do 50%, co dowodziłoby raczej zdolności obywateli do trzeźwej oceny wartości jego pracy.

Wreszcie Polacy zapytani, czy są zwolennikami, czy przeciwnikami rządu kierowanego przez Donalda Tuska praktycznie do stycznia 2012 r. identyfikowali siebie raczej jako zwolenników. W 2007 r. nadwyżka była olbrzymia, by potem systematycznie maleć. Jedyne dwa momenty, w których liczba zwolenników i przeciwników zrównywała się to koniec 2009 r. i połowa 2011 r. Co ciekawe w 2012 r. liczba przeciwników gabinetu Tuska wyraźnie wzrosła, osiągając w szczytowym momencie 45%, wobec 27% zwolenników. Z biegiem czasu jednak różnica ta malała a do czasu Euro2012 poparcie powoli rosnęło. Te wyniki niemal dokładnie pokrywają się z akceptacją dla Donalda Tuska jako premiera, co może nasuwać wniosek, że obraz premiera determinuje obraz rządu.

Co nam mówią te wyniki? Po pierwsze mówią, że Polacy raczej nie widzą w swoim rządzie nadziei na poprawę sytuacji gospodarczej kraju. Nie bardzo wiadomo, czy w ogóle tego od rządu oczekują. Najprawdopodobniej różnią się od narodów Europy Zachodniej, które stawiają wymagania swoim państwom tym, że starają się poprawić swój byt własnymi siłami a gdy napotykają na bariery ponad ich siły emigrują. Ten sposób zachowania nie zmienił się praktycznie od 150 lat (tj. od kiedy zniesiono w Polsce pańszczyznę). Polacy na ulice wychodzili dotąd jedynie wtedy, kiedy nie mogli emigrować, czyli w PRL.

Po drugie, Polacy mimo ogólnego pesymizmu, co do skuteczności działań rządu, uważają, że rząd Tuska raczej się stara. Faktem, który trudno będzie zapewne zrozumieć osobie o prawicowych poglądach, jest osobliwy wzrost pozytywnej oceny działań rządu w okresie między katastrofą smoleńską a raportem MAK (jeśli dobrze identyfikuję te wydarzenia jako znaczące). Równie ciekawe wydaje się, że praktycznie od razu po wyborach w zeszłym roku negatywne oceny premiera, jego

gabinetu oraz poparcie dla niego poszybowały w górę. Tak jakby Polacy od razu pożałowali, że dali się namówić Donaldowi Tuskowi na drugą kadencję.

Po trzecie, widać z tych badań, że jest w Polsce jeszcze trzecia partia – partia obojętnych i niegłosujących. Równie duża jak partia przeciwników. Negatywne oceny pracy rządu w tej grupie dorównują właściwie ocenom w grupie zwolenników PiS. Odwieczny problem PiS jako opozycji polega na tym, że nie potrafi lub nie chce mówić jednocześnie do wszystkich przeciwników gabinetu Tuska. W sensie politycznym zatem Platforma jest tak długo bezpieczna, jak długo PiS nie potrafi wyciągnąć obojętnych do wyborów.

Po czwarte wreszcie, oczekiwania wobec rządu, ocena jego pracy i poparcie dlań to w Polsce trzy różne rzeczy. Mimo, iż Polacy niewiele oczekiwali, źle oceniali pracę rządu, to wciąż właściwie premiera popierali. Po wyborach sytuacja zmieniła się o tyle, że wzrósł poziom niezadowolenia, ale proporcje pozostały podobne – zła ocena pracy wciąż nie przekłada się wprost na mniejsze poparcie. Oczywiście pierwszą rzeczą, która przychodzi go głowy w tym momencie jest znany problem braku przekonującej alternatywy dla obecnego gabinetu. A tej alternatywy nie będzie dopóty, dopóki lider PiS cieszyć się będzie drugim największym – po Januszu Palikocie – poziomem braku zaufania wyborców. Co więcej, dziś jest on jedynym realnie rozpoznawalnym politykiem w partii, po tym jak w przez ostatnie lata odeszli z niej wszyscy rozpoznawalni politycy.

Zaufanie, odpowiedzialność, przywództwo adaptacyjne

W świetle powyższych faktów partia Jarosława Kaczyńskiego, jeśli chce zdobyć władzę, powinna zwrócić szczególną uwagę, na co najmniej trzy sprawy.

Po pierwsze, spadek poparcia dla Donalda Tuska jest jedynie koniecznym, ale niedostatecznym warunkiem wysunięcia się na czoło sondaży. Polacy mogą go źle oceniać, ale wciąż będą na niego głosować, jeśli nie uzyskają przekonania, że alternatywa w osobie Jarosława Kaczyńskiego jest godna zaufania. Podkreślam słowo „zaufanie”. Filozofia polityczna Jarosława Kaczyńskiego do tej pory zwracała na ten kluczowy czynnik niewielką uwagę lub nawet opierała się na „metodyce nieufności”. A tymczasem sprawa ma absolutnie zasadnicze znaczenie. Z jednej strony bowiem, to zaufanie jest liderowi opozycji niezbędne dla odzyskania władzy. Z drugiej zaś jest mu ono jeszcze bardziej niezbędne do dynamicznego rządzenia Polską.

Po drugie, niebywale ważną kwestią jest poszerzenie pola adresatów przekazu PiS. Apelowanie do grupy oddanych zwolenników za pomocą „dyskursu rozliczeniowego” od wielu lat przynosi ten sam efekt – max. 30% wyborców. Tymczasem przed każdymi wyborami PO posługując się „dyskursem postępu” zawsze udaje się uciąć te 5-10% wyborców więcej. Jedynym sposobem wydaje się sięgnięcie do grupy niezadowolonych niegłosujących, co jednak oznacza konieczną zmianę języka. Zmiana ta wymagałaby głębokiego studium i powinna być dyskutowana raczej w zaciszu gabinetów, ale podstawową dźwignią nowej retoryki PiS powinno być pojęcie „odpowiedzialności”, we wszystkich jej pojęciowych aspektach dobrze ujmowanych przez angielskie pojęcia: *trustworthiness*, *responsibility*, *accountability*. Odpowiedzialności za Polskę jako dobro wspólne, odpowiedzialności za wszystkie jej pokolenia i regiony, odpowiedzialności decydentów za ich decyzje (tzw. rozliczalność w ramach zasady zadania=uprawnienia=odpowiedzialność) i wreszcie ustanawiania reguł premiujących ludzi odpowiedzialnych (polityków, urzędników, przedsiębiorców, nauczycieli, rodziców).

Po trzecie wreszcie, Jarosław Kaczyński powinien zainteresować się i pójść na kompromis z obrazem świata swoich potencjalnych nowych wyborców. Zasadnicze pytanie, na które PiS musi mieć jasną odpowiedź brzmi: dlaczego – mimo bardzo krytycznej oceny – istnieje praktycznie paralelny elektorat opozycyjny, ale bierny politycznie? Jednym z prawdopodobnych wyjaśnień – obok niewiary w polskie państwo i politykę – jest psychologiczna niechęć Polaków do „wywracania wszystkiego do góry nogami”, do negowania dotychczasowych osiągnięć w odbudowywaniu stabilności swojego świata i odzyskiwania poczucia normalności. Innymi słowy, Jarosław Kaczyński powinien przestać namawiać swoich wyborców do akceptacji swojego przywództwa transformacyjnego, bo pragną oni (nawet jeśli błędnie) uznania końca transformacji. W zamian powinien zaoferować im tzw. przywództwo adaptacyjne. Przywódca adaptacyjny pomaga zbiorowości przezwyciężyć lękowe mechanizmy obronne nie dając autorytatywnych rad. Pomaga grupie samodzielnie znaleźć rozwiązanie i wziąć za nie odpowiedzialność.

Jeśli te sprawy się nie zmienią, to nawet po gorącym politycznie wrześniu wszystko będzie się w Polsce toczyć się nadal tak samo, czyli tak jak toczy się w Polsce od dobrych kilkuset lat.

Skrócona wersja tekstu ukazała się w [„Naszym Dzienniku”](#)